

Tragiczny teatr marionetek w Mołdawii

27 sierpnia 2017

Mołdawię, wstrząsaną kolejnymi kryzysami, nie rządzi gabinet Pavła Filipa ani prezydent Igor Dodon. Zasłoną dymną są programy większości partii politycznych, zwłaszcza tych, które nieustannie podkreślają swoją „demokratyczność” i „liberalizm”. Modernizacja i proeuropejski kurs tego kraju, trwający ponoć od 2009 r., to też iluzja, tak samo, jak nowy kurs prorosyjski, który miał zacząć się wraz z wyborczą wygraną Dodona w listopadzie 2016 r. Całe życie polityczne w Kiszyniowie jak teatr marionetek.



Przystanek marszrutkowy w centrum Kiszyniowa. Wieszany właśnie plakat Partii Demokratycznej, obiecujący lepszą przyszłość w Europie, na nikim już nie robi wrażenia.

W ramach teatru marionetek mieszczą się nawet najbardziej dramatyczne zwroty akcji, jak wydalenie przed kilkoma tygodniami rosyjskich dyplomatów czy całkiem niedawne niewpuszczenie wiceprezydenta Rosji w przestrzeń powietrzną Mołdawii, chociaż teoretycznie głową państwa jest polityk, który właśnie we współpracy z Rosją widzi sens swojej publicznej aktywności. Trzeba przyznać, że Igor Dodon wypadł –

w oczach mniej zorientowanych – wcale przekonująco, gdy oburzał się na rząd i apelował, by różnice zdań co do tego, z kim powinna przyjaźnić się Mołdawia, rozwiązywać w cywilizowany sposób, bez dyplomatycznych skandali. Fachowe odgrywanie spektaklu pt. „Spór o geopolitykę” nie zmienia jednak istoty sprawy. Postaciami na scenie steruje zza kulis Łalkarz, a sensem mołdawskiej polityki jest utrzymywanie tego stanu rzeczy.

Łalkarzem Mołdawianie nazywają – z mieszaniną lęku i niechęci – Vladimira, czy też po prostu Vlada, Plahotniuka, człowieka, który tylko teoretycznie nie pełni żadnego państwowego urzędu. W rzeczywistości z majątkiem rzędu 2,5 mld dolarów i oplatającą cały kraj siecią powiązań może więcej, niż ktokolwiek z oficjalnej elity politycznej. Według oficjalnej biografii Plahotniuc to cudowne dziecko transformacji, zdolny biznesmen, który na początku lat 90. wzbogacił się, eksportując mołdawskie wina, a miał jeszcze przy tym czas na prowadzenie ośrodka dla nieletnich ofiar przestępstw „Minor”. Potem, mówiąc w skrócie, była praca w rumuńskim koncernie naftowym Petrom, kierowanie bankiem Victoriabank, utworzenie koncernu mediowego General Media Group i wreszcie kariera polityczna w szeregach Partii Demokratycznej.

Biografii oficjalnej nikt jednak w Kiszyniowie nie wierzy, każdy za to powtórzy nieoficjalną: Plahotniuc na początku lat 90. był zwykłym sutenerem. Powielają te informacje mołdawskie portale, a także ludzie, z którymi spotykałam się podczas moich kilkukrotnych podróży po Mołdawii, od zwykłych zjadaczy chleba do poważnych polityków, jak Petru Vlah, deputowany do parlamentu w latach 2010-2014 z ramienia Partii Liberalno-Demokratycznej. To od niego pierwszy raz słyszę historię, która od dawna obiega rumuńskojęzyczny internet: że zarabianie na handlu kobietami Plahotniuc zaczynał od wykorzystywania podopiecznych ze swojego ośrodka – dziewcząt z ubogich rodzin, o które nikt się specjalnie nie upominał, wciąż funkcjonują w mołdawskiej i rumuńskiej przestrzeni informacyjnej. Twierdzi

się, że prostytutki dostarczał postaciom z pierwszych szeregów nowej elity politycznej niepodległej Mołdawii, a także z sąsiedniej Rumunii. Tamtejszych polityków wprost z kiszyniowskiego lotniska limuzyny wiozły do Nobil Clubu, prowadzonego przez Plahotniuka. Rumuni mieli tam bezstresowo spędzać czas, podczas gdy gospodarz miał zbierać na ich temat kompromitujące materiały. Dzięki takim właśnie „kwalifikacjom” uzyskać kierownicze stanowisko w mołdawskim oddziale Petromu, zarekomendowany osobiście przez prezydenta Rumunii Iona Iliescu. Również przy okazji prowadzenia tego „biznesu” miał zaprzyjaźnić się z Olegiem Voroninem, synem prezydenta Mołdawii, lidera lewicowej tylko z nazwy Partii Komunistów Republiki Mołdawii (PCRM). W rządzonej przez PCRM Mołdawii swobodnie mógł poszerzać swoje wpływy, żerować na prywatyzacji i niszczyć, przy pomocy państwowej policji, biznesowych konkurentów. Oddani mu ludzie nie wahali się posługiwać najbardziej radykalnymi środkami. Portale point.md i crimemoldova.com, starając się zrekonstruować jego imperium, wyliczają, że Plahotniuc zawładnął w tym okresie m.in. najśłynniejszymi krajowymi kombinatami winnymi „Cricova” i „Milestii mici”, największą mołdawską siecią piekarni „Franzeluta”, międzynarodowym centrum targowym „MoldExpo” w Kiszyniowie, kiszyniowskim lotniskiem, mołdawskimi liniami kolejowymi, mołdawską pocztą, spółką nadzorującą dworce i stacje autobusowe, spółkami Moldelectrica, Apa-canal, Moldtranselectro, Termocom, hotelem Codru w Kiszyniowie. I zaznaczają, że to tylko wybrane pozycje na długiej liście zdobyczy, które nadal pozostają w rękach oligarchy.

Wzmocniony i wzbogacony Plahotniuc doszedł w 2009 r. do wniosku, że „współpraca” z komunistami wyczerpała swój potencjał. Po wyborach parlamentarnych, w których znowu wygrała PCRM, sterowana przez oligarchę z tylnego siedzenia Partia Demokratyczna rzuciła hasło do protestów przeciwko rzekomemu fałszerstwu. Na ulice Kiszyniowa wyszło kilka tysięcy ludzi, bo i obiektywnie patrząc Mołdawianie mieli prawo być niezadowoleni z bezrobocia, spadających wskaźników

poziomu życia, mizernych perspektyw ograniczających się w gruncie rzeczy do emigracji zarobkowej. Razem z Partią Demokratyczną wystąpiły trzy kolejne formacje głoszące liberalizm, wolność, dążenie do integracji z Europą. Swoje działania na bieżąco organizatorzy uzgadniali z ambasadą USA, byli w kontakcie z dyplomatami czołowych krajów europejskich. Nic to, że obserwatorzy z OBWE oszustw się nie dopatrzyli. Unia Europejska zaczęła wyrażać zaniepokojenie, które jesienią tego samego roku przeszło w zachwyt – oto wybory zostały powtórzone i (niewielką przewagą) wygrał je Sojusz na rzecz Integracji Europejskiej, koalicja trzech partii rzekomo pragnących zmierzać ku Zachodowi.

Mieszkańcy Mołdawii uwierzyli w europejski sen. Tymczasem Plahotniuc przeliczał, ile zarobi na geopolitycznych kalkulacjach Brukseli, pragnącej za wszelką cenę rozszerzać strefę zachodnich wpływów. Bezbłędnie zorientował się, jak bardzo UE zależy na jakimkolwiek sukcesie na wschodzie, choćby pozornym. Nie miał wątpliwości, że jego marionetki zasiadające w parlamencie nie muszą niczego reformować, ważne, by nieustannie powtarzać frazesy o „modernizacji” i „integracji z Europą”. Odebranie im poparcia z punktu widzenia Unii nie wchodziło w grę – przecież wtedy Mołdawia nieuchronnie wpadłaby w objęcia złowrogiej Moskwy. Plahotniuc spokojnie więc kontynuował swój skok na media, obłaskawiał i szantażował na przemian potencjalnych konkurentów politycznych i biznesowych. Zadbał, by jego ludzie obsadzili prokuratury i sądy, dzięki czemu nikt już nie mógł stanąć w obronie niszczonego rywala. W międzyczasie słuchał – z drugiego szeregu, oficjalnie był przecież tylko prostym deputowanym – unijnych komplementów, jak to Mołdawia stała się prymusem Partnerstwa Wschodniego. W takim tonie przemawiał, w imieniu wspólnoty, w 2010 r. w Kiszyniowie ówczesny minister spraw zagranicznych Polski Radosław Sikorski.

Fakt, czasem mołdawscy „demokraci” usłyszeli też słowa łagodnej krytyki za „wolne tempo reform” – powiedzieć, że

żadne pozytywne przemiany w kraju nie zachodzą odważyli się co najwyżej trzeźwiejsi analitycy, politycy już nie. Do tego wystarczyły cztery lata, by „proeuropejska” koalicja spadła w sondażach do poziomu 72 proc. ocen negatywnych. Plahotniuc miał jednak inny problem. Po 2009 r. nie był jeszcze Łalkarzem wszechwładnym, musiał przynajmniej do pewnego stopnia liczyć się z szefem Partii Liberalno-Demokratycznej, też oligarchą, Vladem Filatem, musiał przystać na to, by i ten zawłaszczył dla siebie i swoich ludzi część aparatu państwowego. Ale to Plahotniuc rósł w siłę i wreszcie doczekał się idealnego momentu, by pozbyć się rywala raz na zawsze. W 2015 r. gruchnął skandal – z systemu bankowego Mołdawii wyprowadzono miliard dolarów.

Ludzie znowu wyszli na ulice, organizacja „Godność i Prawda” rozstawiła przez gmachem rządu miasteczko namiotowe i scenę. Wzywała, by wdrażano prawdziwe reformy, naprawdę zmierzano ku Europie. Swoje protesty zaczęły organizować także Partia Socjalistów Republiki Mołdawii oraz Nasza Partia, obie z lewicowym programem, obie wzywające do poukładania stosunków z Rosją. Europa znowu wyraziła zaniepokojenie, ale nie mogła przecież poprzeć kiszyniowskiej wersji Majdanu – w niepewnej sytuacji opcja prorosyjska, mająca za sobą poważne argumenty wynikające z rachunku gospodarczego, mogła przeważać nad skompromitowanym obozem prounijnym. Żeby Brukselę uspokoić, Plahotniuc dał swoim parlamentarnym marionetkom sygnał do odebrania Vladowi Filatowi immunitetu. Nagle „okazało się”, że szanowany demokrat to w rzeczywistości aferzysta i łapówkarz. Na początku 2016 r. usłyszał wyrok: dziewięć lat pozbawienia wolności. Łalkarz triumfował. Był tak zachwycony swoim sukcesem, że złamał żelazną zasadę trzymania się w cieniu, i próbował wymusić na prezydencie Nicolae Timoftim, by ten nominował go na nowego premiera. Timofti jednak odmówił, twierdząc, że szef rządu musi mieć nieposzlakowaną reputację. Oligarcha przemyślał sprawę i zamiast forsować swój pierwotny pomysł wyznaczył na premiera Pavla Filipa, swojego sprawdzonego człowieka. Do rządu również weszli już tylko

członkowie jego klanu oraz, dla niepoznaki, kilku technokratów bez zaplecza. Plahotniuc obsadził swoimi ludźmi resztę struktur siłowych, Sąd Konstytucyjny, Narodowy Bank Mołdawski, a do kontrolowanych już struktur sądownictwa dołożył władzę nad biurem antykorupcyjnym. W międzyczasie przetrwał skandal wywołany przez ujawnienie, iż posiada obywatelstwo rumuńskie uzyskane na fałszywe nazwisko – Ulinici. Opinii publicznej sprzedał kolejną bezsensowną wersję oficjalną – chciałby ponoć ułatwić swoim dzieciom życie, jeśli zdecydują się na studia u zachodniego sąsiada. Rumuńskie organy ścigania nie podjęły sprawy.

Nie osiągnął tylko jednego – sympatii Mołdawian. Chociaż od pewnego momentu kariery zaczął dbać o swój wizerunek, sponsorować szpitale położnicze, fotografować się w domach dziecka, pozostał złowrogim Łalkarzem, o którym źle myśli 95 proc. mieszkańców kraju. Tak samo nędznie wyglądają notowania jego Partii Demokratycznej, na którą jest jeszcze gotowych głosować 5 proc. wyborców (można się domyślić: bezpośrednio pracujących dla partii lub blisko z nią powiązanych). Społeczeństwo podzieliło się na tych, którzy nie wierzą już w żadną „dobrą zmianę” i chcą po prostu przetrwać, tych, którzy ciągle mają nadzieję na nadejście „prawdziwych reformatorów” i wreszcie tych, którzy rozczarowani znikomymi efektami kursu na Europę chcieliby zwrócić się ku Rosji. Druga grupa widzi swoją nadzieję w wykształconej w Stanach Zjednoczonych byłej minister edukacji Mai Sandu. Dzięki głosom trzeciej ostatnie wybory parlamentarne wygrała Partia Socjalistów Republiki Mołdawii (mając jednak tylko 25 mandatów w 101-osobowym parlamencie), a prezydentem został w listopadzie 2016 r. jej lider Igor Dodon.

Jego wyborcy, nieważne, na ile przekonani, że głosują na zmianę, w istocie oddali głosy na Łalkarza. To Plahotniuc utorował Dodonowi drogę do przywództwa w obozie lewicowym i prorosyjskim, eliminując z wyścigu prezydenckiego – za pośrednictwem kontrolowanych organów państwowych –

autentycznie popularnego Renato Usatîiego, lidera Naszej Partii, który potem został dodatkowo oskarżony o zlecenie zabójstwa i zmuszony do wyjazdu z Mołdawii; w przeciwnym razie niechybnie czekałoby go więzienie. Usatîi popełnił grzech niewybaczalny – jak opisał lewicowy portal ro.baricada.org, ujawnił materiały, które dowodziły bezpośredniego udziału Plahotniuka w miliardowym bankowym przekręcie. Dodon niby oprotestował ataki na Usatîiego, ale chętnie przejął jego elektorat. Przedstawiał się jako lewicowa alternatywa wobec zawłaszczania państwa, ale to media Lalkarza zręcznie udzielały mu poparcia, a kandydat Partii Demokratycznej Marian Lupu w ostatniej chwili wycofał się z wyborów, ogłaszając, że jest po stronie... Mai Sandu, by to ją mniej zorientowani w polityce uznali za protegowaną Plahotniuka. W tym samym czasie proeuropejscy politycy w Mołdawii załamywali ręce nad poparciem, jakie otrzymywał orędownik zwrotu ku Rosji. Wszystko po to, by Europa nawet przez chwilę nie pomyślała o porzuceniu Mołdawii, czegokolwiek by nie myślała o tamtejszej „elicie”. Przecież w przeciwnym razie Kiszyniów weźmie Putin! Tymczasem Igor Dodon, kiedy już został zaprzysiężony, ograniczył swój prorosyjski kurs do efektownych gestów i spotkań, z których niewiele wynikało. – Kiedyś mieliśmy prezydenta Timofti’ego, który przynajmniej nie przeszkadzał. Milczał, czasem wychodził do dziennikarzy i mówił: nie wiem, co się ze mną dzieje, nie wiem, co się z wami dzieje. Taka była jego działalność. Teraz mamy Dodona, który gada od rana do wieczora, zbija ludzi z pantałyku, bezwstydnie oszukuje – skomentował Usatîi dla portalu lnews.md. Nawet uwzględniając oczywistą antypatię, jaką musi czuć do Dodona, który jeszcze w 2015 r. wspólnie z nim maszerował na antyrządowych manifestacjach w Kiszyniowie, trudno nie przyznać mu racji.

Najpoważniejsza bowiem dotąd decyzja, jaką podjął Dodon, to podpisanie ustawy o zmianie ordynacji wyborczej na mieszaną. Dla jego partii socjalistów, która cieszy się poparciem rządu 50 proc., to cios w plecy. Nie oni, a „demokraci” Plahotniuka skorzystają na wycofaniu się z ordynacji proporcjonalnej.

Oligarcha bez problemu wystawi w okręgach jednomandatowych „niezależnych” kandydatów i ich wypromuje. Tak samo bez problemu, stosowanymi od lat sposobami, wymusi posłuszeństwo na lokalnych aktywistach, jeśli w ogóle odważą się spróbować startu jako autentyczni niezależni. Lider socjalistów zapewne kalkuluje, że z Plahotniukiem i tak nie wygra, a pewnie i wychodzi z założenia, że nie zostanie, jak Voronin i Filat, zdradzony, bo przecież sytuacja polityczna w Mołdawii się zmieniła. Nadzieja Dodona w tym kierunku jest jednak kompletnie nietrafiona. Plahotniuc przy posiadanych zasobach może w dowolnym momencie, przy pomocy jednej z marionetek, wysunąć pod jego adresem odpowiednio miażdżące oskarżenia czy też – o tym jest przekonany – zmontować nową formację, która zastąpi partię Dodona. 27 lipca kontrolowany przez oligarchę Sąd Konstytucyjny ogłosił, że referendum, jakie Dodon zamierzał zorganizować w sprawie poszerzenia pełnomocnictw głowy państwa, jest niezgodne z ustawą zasadniczą. Tak na wszelki wypadek, gdyby prezydent pomyślał, że jakaś nagroda za wspieranie Łalkarza mu się należy.

Jeździłam do Mołdawii w ubiegłym roku kilkakrotnie, przed wyborami prezydenckimi i po nich. Miałam okazję zobaczyć i Mołdawian kompletnie obojętnych wobec rozgrywanego przed ich oczami spektaklu („ludzie już tu nikomu nie ufają, ani rządowi, ani opozycji”, powiedział mi rozczarowany polityk z rozbitej partii Vlada Filata) , i tych, którzy pierwszy raz od dawna mieli naprawdę jakąś przedwyborczą nadzieję (jak socjalistyczny deputowany, który był pewien: w wyborach zmierzą się Dodon z Sandu, czyli tak czy inaczej wygra ktoś niewygodny dla Plahotniuka). Co myślą teraz, kiedy największa od lat szansa na podważenie logiki marionetek przepada? Można sobie tylko wyobrażać, jak gorzkie wyciągają wnioski, gdy oszukał ich nie polityk obiecujący abstrakcyjną „integrację europejską”, ale zwracający się do prostych ludzi, udający jednego z nich, zapowiadający rozwiązanie codziennych problemów.

Rozbroiwszy w ten sposób alternatywę w kraju, zanim jeszcze zdążyła się wykrystalizować, tym łatwiej utrzyma Plahotniuc ślepe poparcie Brukseli. Wystarczy, by namaszczeni przez niego na parlamentarzystów i ministrów powtarzali to, co do tej pory: prowadzimy reformy, nie jest łatwo, ale to nasz obóz polityczny jest jedyną gwarancją europejskości i demokracji. Unia uwierzy, bo – tym bardziej po wyborze prezydenta Dodona – uwierzyć bardzo chce. Nie czyni wiosny jedna jaskółka, jaką są wyrazy zaniepokojenia z powodu urządnego w majestacie prawa przekrętu z ordynacją wyborczą, jakie pod koniec lipca wyraziła europejska Partia Ludowa. W ostatecznym rozrachunku wygra geopolityka, koncepcja „powstrzymywania Putina”, Mołdawia (czyli Plahotniuc) nadal będzie otrzymywać wsparcie, także to materialne, i to niebagatelne: ro.baricada.org pisze o najnowszej stumilionowej dotacji przyznanej 12 kwietnia 2017 r. Oczywiście „na kontynuowanie reform”.

Nieważne, że obrońcy praw człowieka zauważają, że w Mołdawii w więzieniach siedzą polityczni (nie tylko Filat, którego społeczeństwo akurat specjalnie nie żałuje), a przeciwko odważnym prawnikom i dziennikarzom otwiera się absurdalne sprawy karne. Nieważne też, że w kwietniu 2017 r. mołdawski parlament przegłosował ustawę dającą wojsku prawo rozbijania ulicznych protestów. A już najmniej godne uwagi jest to, że po ćwierćwieczu niepodległości Mołdawianom żyje się gorzej, niż przed rozpadem ZSRR, kraj pozostaje najbiedniejszy w Europie (jeśli wliczyć Kosowo – drugi od końca), w 2015 r. przeżył kolejną recesję, która kosztowała go 18 proc. PKB. Do tego przez ćwierć wieku niepodległości stracił jedną piątą populacji, ciągle rosnąca liczba wyjeżdżających i ujemne saldo urodzeń sprawi, że w niedługiej perspektywie zagrozi mu demograficzne załamanie – pod niechlubnym względem straty mieszkańców zajmuje trzecie miejsce na świecie.

„Republika Mołdawii (...) nie ma skutecznej i odpowiedzialnej klasy politycznej, efektywnego systemu politycznego i prawnego, spójnej i akceptowalnej idei państwowej czy

narodowej ani stabilnej gospodarki. (...) W swym obecnym kształcie stanowi przykład klasycznego „państwa zawłaszczonego” (ang. captured state), w którym funkcjonowanie kluczowych instytucji (w tym administracji, sądów oraz służb specjalnych) zostało w pełni podporządkowane interesom wąskiej grupy polityczno-biznesowej” – taką ocenę wystawił Kiszyniowowi na 25. rocznicę niepodległości Kamil Całus, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich. Opisał bolesny upadek prymusa Partnerstwa Wschodniego? Raczej trzeźwo, bez pobożnych życzeń, ocenił jego kondycję, która od lat się nie zmienia. I prędko się nie zmieni.

Autorstwo tekstu i zdjęcia: Małgorzata Kulbaczewska-Figat

Źródło: Strajk.eu